



PIOTR GUZIK

” Kraków naszych gości wprost zadziwia – są zachwyceni. Mówią, że nie spodziewali się, że w Polsce odkryją tak starą, fantastyczną kulturę. Nie wiem, co oni myśleli o nas wcześniej...

W Polsce, czyli nigdzie

MATERIAŁY UCZELNI
LACZKISKIEGO

ANTONI KAMIŃSKI, HISTORYK

Od czasów rozbiorów w zasadzie wciąż te same wrogie nam ośrodki wyrabiały Polsce czarną legendę. Zaborcy musieli przecież jakoś uzasadnić, dlaczego dokonali rozbiorów.

Co wie o Polsce przeciętny amerykański student, który przychodzi na pana zajęcia z historii Europy Środkowo-Wschodniej?

W ie bardzo mało albo zupełnie nic. Jeżeli wie, że Polska w ogóle istnieje, to można zakładać, że będzie kojarzył np. Lecha Wałęsę. Gdzieś kiedyś słyszał, że był taki fajny facet... I to tyle, bo kim dokładnie był i co tak naprawdę zrobił, to już nie będzie kojarzył. Może będzie wiedział, że Jan Paweł II był Polakiem. To dość prawdopodobne, bo papież dobrze zapisał się w pamięci amerykańskiej młodzieży, więc mogą trochę o nim wiedzieć. Jeżeli nie pochodzi z rodziny, która wyemigrowała gdzieś z tych terenów, nic więcej raczej nie wie. A mówię o studencie przeciętnym, ale na bardzo dobrych uczelniach, na których uczyłem: Uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku i jezuickim Uniwersytecie Georgetown w Waszyngtonie. Tam naprawdę trudno się dostać, więc mówimy tu o umysłowej elicie USA.

A co o naszej historii wie absolwent tych uczelni? Czy na dobrych amerykańskich uniwersytetach studenci dowiadują się czegoś więcej o naszym kraju?

To zależy. W ciągu czteroletnich studiów wszyscy muszą zaliczyć określoną liczbę kursów z humanistyki, nauk społecznych i ścisłych. Jednak każdy wybiera sobie takie kursy, jakie go najbardziej interesują. Wszyscy muszą przejść przez co najmniej dwa kursy historii. Po zaliczeniu tych czterech lat można iść dalej na studia magisterskie. Jeśli ktoś zakłada, że pójdzie później na prawo, to naturalnie weźmie sobie więcej kursów historii, bo ta wiedza przyda mu się w przyszłości. Niemniej każdy musi zaliczyć jeden z dwóch obowiązkowych kursów historycznych: historię cywilizacji zachodniej albo historię świata. Kiedyś bezwzględnie obowiązkowa była ta pierwsza, ale to się w ostatnich latach zmieniło.

Zalóżmy, że ktoś wybierze właśnie historię cywilizacji zachodniej. Czego na niej dowie się o Polsce?

Jest jakieś pięć podstawowych podręczników do tych zajęć. Słabsze uczelnie wybierają mniej wymagające kursy, najlepsze oczywiście biorą najbardziej wymagające. Swego czasu dokonałem poważnej analizy wszystkich najpopularniejszych podręczników i stwierdziłem, że Polski tam w zasadzie nie ma. Jeśli już się pojawia, to po to, by udowodnić, że w historii Europy zdarzały się także ciemne karty: nietolerancja, bicie Żydów, absolutnie głupia polityka. Zresztą długo by to streszczać. Powiedzmy, że autorzy tych podręczników wykazywali się całkowitą ignorancją. W przedstawionej przez nich wizji można było dostrzec jakąś niewyjaśnioną przypadkowość istnienia Polski. Nic z niczego tam nie wynikało. Gdy pojawiała się jakaś postać z polskiej historii, to jakby spadała z kosmosu. O Koperniku było co nieco w związku z rozwojem nauki, ale z Polską nie miał żadnego powiązania. Często na kartach tych podręczników nie pojawiał się ani jeden polski król. Jak już się pojawił, to gdy wyrządzał krzywdę Rosji, miał jakieś złe zamiary albo kiedy pomagaliśmy złemu Napoleonowi.

Tylko czy rzeczywiście jakieś fakty z historii Polski mogłyby być interesujące dla amerykańskiego studenta?

Najbardziej mnie uderzyło, że Polska nigdy nie wystąpiła jako przykład rozwoju idei parlamentarnej. A wpływ na to mieliśmy na pewno nie mniejszy niż Anglia. Zresztą nie tylko na ideę, ale i praktykę. W końcu u nas parlamentarizm i obywatelstwo było naprawdę praktykowane, a na

zachodzie Europy było tylko gadane, obmyślane, i to najczęściej w ukryciu. W amerykańskich podręcznikach tych faktów w ogóle nie ma. Mało tego, każda z tych pozycji to pięknie wydane, grube i koszmarnie drogie tomy. Zawierają nawet do 3 tys. zdjęć przedstawiających najpiękniejsze pomniki architektury, dzieła sztuki czy wybitnych ludzi, którzy odegrali ważną rolę w historii. Wśród tych ludzi zauważyć można głównie dwie polskie twarze, które Amerykanie i tak znają: Wałęsę i Jan Paweł II. W jednym z podręczników był tylko Wałęsa, papież już autorom umknął.

A Kopernik?

Chyba raz się zdarzył. Raz była też Maria Skłodowska-Curie, ale związana z Francją. Raz chyba był też Jan III Sobieski. Nawet jak Amerykanin zapamięta te twarze, to na pewno nie pozna ich związku ze skomplikowaną i ciekawą historią. Nie ma więc co się dziwić, że Amerykanie mają taką, a nie inną opinię o nas. Stereotypy o Polakach można spotkać na każdym kroku. A przecież nie poznając naszej historii, nie dowiedzą się o prężnie rozwiniętej w I Rzeczpospolitej idei obywatelstwa, nie poznają związanej z nią tradycji tolerancji, zarówno religijnej, jak i językowej.

W 2006 r. rozpoczął pan program „Przywracanie zapomnianej historii. Wyobrażenia o Europie Środkowo-Wschodniej w anglojęzycznych podręcznikach akademickich”. Rozumiem, że zaczął pan od tych wielkich podręczników.

I to nie było wcale proste, bo jak przekonać autorów, których podręczniki sprzedają się rocznie w setkach tysięcy egzemplarzy, by coś w nich zmienili? Po co mają to robić? A ja postanowiłem pójść na całość i zacząłem zapraszać ich do Polski. Najpierw trzeba było jednak zrozumieć, skąd się bierze u nich ta ignorancja i dlaczego tak przedstawiają Polskę. Otóż od czasów rozbiorów w zasadzie wciąż te same wrogie nam ośrodki wyrabiały Polsce czarną legendę. Zaborcy musieli przecież jakoś uzasadnić, dlaczego dokonali rozbiorów. Przeznaczali na to nawet dość duże kwoty. Oplacali po prostu propagandę.

Komu płacili?

W tę propagandę włączały się naprawdę wybitne postacie. Trzeba pamiętać, że na żołdzie carycy Katarzyny był i Wolter, i Denis Diderot. Mimo to i tak mieliśmy wtedy jeszcze wielu przyjaźniół. Przez cały XIX w. wszyscy, którzy walczyli o wolność (polityczną czy społeczną), krzyżowali „Vive la Pologne!”. Za to ci, którzy chcieli utrzymania status quo, chcieli, by o Polsce zapomniano. Sprawa Polski była dla nich niezwykle niewygodna. W końcu Polska odzyskała niepodległość. W zachodnich dziełach jednak zapisana już była prawie niepodważalna opinia o naszej anarchii, nietolerancji itd. To przekładało się na negatywne nastawienie do nas praktycznie całego świata.

Jak to nastawienie zmieniła II wojna światowa?

Niestety, II wojna światowa dodatkowo pogrzebała polską sprawę. Na Zachodzie często się słyszy, że każdy, kto strzelał w stronę wschodu, ułatwiał przesunięcie się Oświęcimia do Władywostoku. Inni za to mówią, że każdy, kto strzelał na zachód, ułatwiał przesunięcie się Magadanu i Workuty do Berlina albo Paryża. Także mało przyjemna wizja. A my po prostu próbowaliśmy walczyć po stronie dobra; walczyliśmy z oboma totalitaryzmami naraz. Problem jednak w tym, że jeden z tych totalitaryzmów niby stał po stronie dobra, czyli aliantów... To więc zupełnie zrozumiałe, że alianci nie mogli pisać o nas w samych superlatywach, bo zaburzaliśmy ich

”Na pierwszą konferencję przyniosłem **konstytucję nihil novi**”



prostą wizję walki ze złem. Znowu dla kogoś byliśmy niewygodni, tym razem dla następców Roosevelta i Churchilla. Oni z naszą częścią świata dokonali czegoś, z czego nie mogli przecież być dumni. Stąd należy zrozumieć, dlaczego nie można było nas chwalić, bo to by oznaczało, że tak waleczna i dzielna Polska, zawsze stojąca po stronie dobra, została przez nich sprzedana w Jalcie...

Był jakiś inny punkt widzenia?

Tak, można było na Polskę patrzeć z perspektywy Rosji. Po II wojnie światowej ZSRR stał się szalenie ważny, bo miał broń nuklearną. Mógł zniszczyć świat, a ta wizja powstrzymywała niektórych przed mówieniem na pewne tematy. Na zachodnich mapach od Bałtyku do Adriatyku była więc – metaforycznie – biała plama. Ważna była jedynie Rosja. Nagle do podręczników o historii europejskiej cywilizacji dopisano olbrzymią ilość stron o rozwoju Rosji. Jej historia oczywiście zaczynała się w Kijowie. To, że potem przeniosła się do Moskwy, nie było już bliżej wyjaśniane. To była wszystko Rosja: Kijów, Wilno, Grodno... Nieważne, że w XVII w. z Kijowa było mentalnie bliżej do Paryża niż do Moskwy. O tym się nie pisało. Pisano wyłącznie o Rosji.

Jednak zimna wojna się skończyła...

I w Ameryce zaczęło się pojawiać zrozumienie tego, że warto by powrócić do Europy takiej, jaka była naprawdę. Niektórzy zaczęli sobie przypominać, że zarówno Polska, jak i Węgry czy Czechy to także były wielkie państwa zakorzenione w europejskiej cywilizacji już od momentu chrztu. I jakoś trzeba by teraz przywrócić je na karty historii. Jednak ta zmiana w amerykańskiej mentalności dokonuje się bardzo powoli. Tu dochodzi jeszcze jeden czynnik. Autorzy tych podręczników to często wybitni specjaliści od historii Francji, Anglii, Niemiec czy Rosji. Oni o Polsce czy Węgrzech na dobrą sprawę nic nie wiedzą. Co więcej, na naszą historię patrzą przez pryzmat historii tego kraju, w którym się specjalizują.

W tym roku w Polsce na konferencji „Przywracanie zapomnianej historii...” ponownie gościł John Merriman. To wykładowca Uniwersytetu Yale, wybitny specjalista od współczesnej historii Europy.

To specjalista dokładnie od historii Francji XIX i XX w., a zarazem jeden z najbardziej znanych amerykańskich historyków. On wyklada dla 300 tys. ludzi! Jego podręcznik do historii Europy wydawany jest na całym świecie, nawet w Chinach. Jest to profesor o mocno lewicowym światopoglądzie, co u amerykańskich historyków przekłada się na podziw dla Rosji, uważanie Piłsudskiego za faszystę itd. Dla nich bitwa warszawska 1920 roku to jeden z największych zwycięstw w historii, bo gdyby nie ci straszni Polacy, to cała Europa byłaby postępową, a świat byłby piękny... I taki był właśnie Merriman. Bardzo się cieszyłem, że udało mi się właśnie jego zaprosić na pierwszą konferencję, choć praca nad jego książką wydawała się bardzo wymagającym zadaniem. Z jednej strony były tam koszarne błędy i niedopowiedzenia, a z drugiej to jednak bardzo ceniony historyk – trzeba było ostrożnie się z jego pracami obchodzić.

John Merriman chyba dał się przekonać do ważnej roli Polski w historii regionu, skoro kolejny raz powraca na konferencję...

Odkąd za pierwszym razem przyjechał na naszą konferencję, to od następnego roku pomagał mi już zapraszać do Polski kolejnych historyków. A jego pomoc była

nieoceniona, szczególnie gdy zapraszaliśmy podobnie lewicowych naukowców. Merriman zna mnóstwo wpływowych ludzi. Za to ja miałem to szczęście, że na Columbii doktoryzowałem dwóch wybitnych dzisiaj specjalistów od historii Żydów. Obydwaj zresztą bardzo mocno bronią Polaków i prawdziwej wizji stosunków polsko-żydowskich. Oni też pomagają mi zapraszać do Polski niechętnie nastawionych do nas historyków, którzy z Polską kojarzą wyłącznie tę mityczną nietolerancję.

Alie czy Merriman zmienił swoje podejście do Polski?

W swoim podręczniku do historii Europy wprowadził zmiany na 140 stronach! Tam Polska już w tej chwili wygląda zupełnie inaczej. Jak Merriman przyjechał do nas w 2012 r., to niech pan zgadnie, komu kibicował na Euro?

Polsce?

Pracuję. Po pierwsze, Francuzom, ma dom we Francji i w ogóle uważa się za Francuza (śmiech). Ale na drugim miejscu kibicował Polsce, co było ogromną zmianą, bo wcześniej trzymał kciuki za naszych wschodnich sąsiadów. A tu w 2012 r. Rosji kibicował dopiero w dalszej kolejności. Piłsudski już nie był dla niego żadnym faszystą, tylko całkiem przyzwoitym patriotą. A to, że tak twierdził nawet mocno lewicowy John Merriman, naprawdę ma duże znaczenie dla amerykańskich elit.

Kogo jeszcze udało się panu zaprosić?

Zaprosiłem np. grupę historyków, którzy odpowiadają za bardzo poczytny w USA podręcznik do historii Rosji. A jakie tam były bzdury o Polsce... To nie jest miła i przyjemna konferencja, na którą każdy przyjedzie i będzie pokazywał, jaki jest mądry. Tu pracuje się nad tekstami autorów i wytyka im się ignorancję. A to dla każdego trudna sprawa. Autor jednak z tego dostaje naprawdę dużo. Po pierwsze, wśród



”Dla amerykańskich historyków bitwa warszawska 1920 roku to straszny zawód, bo gdyby nie ci straszni Polacy, to cała Europa byłaby postępową”

recenzentów są wybitni specjaliści, jak np. ci moi byli doktoranci od historii Żydów. Historykom naprawdę zależy na poznaniu opinii ludzi, którzy coś znaczą. Po drugie, ich wydawcy wręcz pokochali naszą inicjatywę.

Cieszą ich zmiany w podręcznikach?

Cieszy ich, że za darmo dostają coś, za co w Ameryce muszą płacić. W USA nie można wydać książki bez uzyskania specjalistycznych opinii o niej z innych uniwersytetów. A tu do jednej pracy mamy

nawet siedmiu wybitnych specjalistów. I ci cenieni historycy często pracują nad naprawdę słabymi podręcznikami – ile trzeba im zapłacić, by usiedli do nich w Ameryce... Jednak na konferencji robią to z wielką przyjemnością, bo sami między sobą mogą wymieniać się różnymi cennymi spostrzeżeniami. Tylko co poradzić – słabe to, ale bardzo poczytne. Na szczęście teraz, jak chcę zaprosić kogoś nowego, to dzwonię do tych, którzy już tu byli, by to oni go przekazywali do przyjazdu. Nieskromnie przyznam, że wszyscy potem piszą, że bardzo dużo na tym skorzystali. Polska rzeczywiście zaczyna się pojawiać w ich pracach, wykładach itd.

Wystarczy wytknąć im błędy, przedstawić fakty i od razu zmieniają swoje stanowisko?

Pamiętam, że na pierwszej konferencji przyniosłem konstytucję nihil novi, tekst konfederacji warszawskiej, Konstytucję 3 maja i artykuły henrykowskie. Te dokumenty naprawdę zainteresowały gości i były dla nich absolutnym zaskoczeniem. Nikt nie wiedział, że coś takiego ten kraj stworzył. Oni nawet nie wiedzieli, że u nas był parlament, a co dopiero, że aż taki parlament... Tylko nie ma co o tym wszystkim opowiadać, przecież są na to dokumenty. Interpretacje mogą być rozmaite, ale sam dokument jest bardzo przekonujący – trudno z nim dyskutować.

Rozumiem, że dla pańskich gości to często pierwsza wizyta w Polsce.

Tak, dla większości z nich. Taki Kraków ich wprost zadziwia – są zachwyceni. Mówią, że nie spodziewali się, że w Polsce odkryją tak starą, fantastyczną kulturę. Nie wiem, co oni myśleli o nas wcześniej, ale te zabytki ewidentnie ich zaskakują. Nagle się okazuje, że w tej dalekiej i nieznannej Polsce jest więcej budowli z okresu renesansu i baroku niż w większości miast europejskich. Aha – myślą – jednak ta Polska to też Europa... Wymowa kamienia jest bardzo sugestywna. A jak zabraliśmy ich do Zamościa, to wszyscy myśleli, że to Włochy. Tłumaczyłem, że we Włoszech nie mieszkało tyle różnych nacji co tutaj. W tych kamienicach – pokazywałem – mieszkali obok siebie Rusini, Ormianie, Żydzi, Polacy, Ukraińcy... Katolicy, unicy, ortodoksi, a tu proszę – synagoga. To przekreśla wiele stereotypów, z którymi ci historycy do nas przyjeżdżają. Ja mam uznaną pozycję w USA i znam wielu wpływowych ludzi, ale kto mi będzie wierzył, gdy mówię cokolwiek o Polsce... Przecież to mój kraj – myślą – pewnie przesadzam... Jednak gdy tak samo o Polsce zaczynają mówić John Merriman, James Collins z Georgetown albo Antony Polonsky z Brandeis, to reszta zaczyna słuchać z uwagą.

— rozmawiał Michał Płociński

Prof. Andrzej S. Kamiński jest historykiem, w latach 1970–1982 był wykładowcą na Uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku, od 1982 r. na Uniwersytecie Georgetown w Waszyngtonie. Jest dyrektorem Instytutu Przerzestri Obywatelskiej i Polityki Społecznej przy Uczelni Łazarskiego. Od 2006 r. kieruje projektem „Przywracanie zapomnianej historii. Wyobrażenia o Europie Środkowo-Wschodniej w angielskich podręcznikach akademickich”

W półmroku



JAROSŁAW
KLEJNOCKI

W czasach, gdy domeną współczesnej poezji stały się rozmaite eksperymenty – formalne, językowe, estetyczne – wiersze Janusza Drzewuckiego noszą szlachetny sznyt starożytności, co chciałbym, żeby zabrzmiało tu jednoznacznie jako komplement. Gdy czytam tomik „Dwanaście dni”, przypominam sobie znane słowa Czesława Miłosza z wiersza „Ars poetica?” o poszukiwaniu formy bardziej pojemnej, która nie byłaby zanadto ani poezją, ani prozą i pozwoliłaby się porozumieć, nie narażając nikogo – autora ni czytelnika – na mękę.

Bo tak właśnie brzmią najnowsze wiersze autora „Ulicy Reformackiej”. Zawieszono pomiędzy czymś w rodzaju mówionej opowieści – sączonej niespiesznie przy winie, wieczorem, w jakiejś knajpcie dowolnego miasta środkowoeuropejskiego – a liryką zwierzenia, osobistej refleksji. Wierszom tym patronuje dawna, a zdaje się, że przemijająca obecnie idea, że poezja to rodzaj dialogu, w którym słuchającym uczestnikiem jest czytelnik, konfrontujący własne stany emocjonalne z tymi podanymi w lekturze. Albo szukający w wierszach zgrabniejszych i bardziej syntetycznych opisów dla swoich przeżyć niż te, które sam umiałby skonstruować.

Innym walorem dobrej poezji, poza dbałością o porozumienie z odbiorcą, jest jej nieoczywistość, obca wszelkim tekstom zaangażowanym, jakże popularnym i w naszych czasach. Doskonałą ilustracją stanowi wiersz „Jednym okiem, drugim uchem”, będący ironicznym komentarzem do wdzierającego się w nasze życie nachalnego dyskursu politycznego, każącego się deklarować i stawać po czyjejs stronie. Tymczasem przywilejem postawy poetyckiej jest zdystansowanie się od tego, co jednoznacznie bieżące i bezrefleksyjne. Ale przecież Drzewucki nie ucieka od doczesności w jej wymiarach społecznych czy politycznych, jak choćby w komentarzach do trudnych współczesnych relacji między Polską a Litwą („List do L.”), stosunków państwo – Kościół w Polsce („Głos w dyskusji Polska i Kościół”), jak też smoleńskiej katastrofy („Druga sobota kwietnia, czyli pod Pałacem Prezydenckim”), bałkańskich powikłań etniczno-politycznych („Belgrad się nie poddaje”) czy węgierskich protestów antyrządowych w 2006 roku („Pierwsze godziny w Budapeszcie”). Wszędzie przyjmuje jednak osobistą, emocjonalną perspektywę w przeciwieństwie do tej, którą budują wielkie idee – często destrukcyjne. I tak Litwa jawi się przede wszystkim w zapoznanej perspektywie dawnej wspólnoty, budowanej przez historię i literaturę, w której nasz narodowy wieszcz przywoływał ją jako ojczyznę. Kościół zaś pytany jest o to, co zawdzięcza narodowi i państwu, a trauma smoleńska każe pocie przywołać moment, kiedy katastrofa ta spowodowała, że na chwilę zjednoczyliśmy się w cierpieniu.

Cały tomik składa się z trzech głównych części: „Wierszy podróżnych”, „Dwunastu dni” (utworów z lat 2004–2012) oraz „Wierszy podzwonnych”. Część podróżna to zapis wypraw do innych państw Mitteleuropi: na Węgry, do Rumunii czy na Bałkany (przede wszystkim Serbię). Drzewucki nie tyle chłonie krajoznawczy czy rejestruje poetyckie uniesienia, ile raczej stara się zapisać podobieństwo losów ludzkich, które objawia się pod postacią spotkań i rozmów z pisarzami. Clou tomiku to jednak część środkowa zapisków – owych dwunastu tytułowych wierszy, zapisy drobnych epifanii zdarzających się czasem każdemu z nas: „czuję/wszelchogarniające/ uczucie szczęścia./ spokoju i szczęścia” („Pierwsza środa września, czyli dzieci idą do szkoły”); ale też desperacji czy ataków pesymizmu: „lato na zabój, bez końca./ ale ja wiedziałem swoje./ nic z tego, jutro/ zacznie padać, będzie/ padać dzień w dzień./ i nigdy nie przestanie” („Pierwsza niedziela lipca, czyli cisza w Warszawie”). To liryka wstrzemięźliwego, ale jednak, osobistego wyznania, taka, w najlepszym stylu, opowieść o życiu jako o specyficznym indywidualnym losie, z którym należy dojść do ładu, aby nie przepaść. Jednocześnie przeniknięta dyskrecją, wypowiedziana jakby spoza zgiełku, który mija gdzieś obok: „za chwilę/ rozkroję chleb./ naleję wina/ do szklanki./ za chwilę./ Póki co./ siedzę/ w półmroku./ w ciszy./ nieruchomo” (Pierwszy poniedziałek maja, czyli święto flagi).

Dopełnieniem książki są teksty poświęcone zmarłym znajomym i przyjaciółom, z których – dla mnie przynajmniej – najbardziej przejmującymi wydają się dwa utwory o Henryku Berezie („Podzwonne dla Henryka” i „Czarna cisza”). To rodzaj prozy poetyckiej, przenikającej w formułę rozbudowanego nekrologu, gdzie pojawia się to, co w wierszach autora „Podróży na południe” najbardziej charakterystyczne: że nasze indywidualne dzieje i nasze osobiste zmagania łączą się i przenikają z podróży innych bliźnich przez ten świat.

Za książkę „Dwanaście dni” Janusz Drzewucki otrzymał niedawno Nagrodę Literacką im. Norwida. Jak najbardziej zasłużył. ■

Autor jest polonistą, krytykiem, pisarzem, wykładowcą Uniwersytetu Warszawskiego i dyrektorem stołecznego Muzeum Literatury



Janusz
Drzewucki,
Dwanaście dni
Iskry, 2014